№ 28. Warszawa, dnia 2 (14) Lipca 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kwestye i Sprawy.

IV.

O pracy w ogólności.

Nauka ekonomii politycznej czyli gospodarstwa społecznego przyjmuje trzy czynniki zasadnicze, niezbędne przy każdej robocie, składające się na wszelką produkcyą, wytwarzające wszelką wartość. Są to: *przyroda*, *praca* i *kapitał*. Przyroda oznacza tu materyał, dostarczany przez naturę, zwany zwykle surowym; praca—to czynność ludzka, skierowana ku przerobieniu owego materyału i zastosowaniu jego do pewnych celów; wreszcie kapitałem, w znaczeniu ekonomicznem, nazywa się wszelkie, choćby najprostsze, narzędzie, wszelki nakład i wytwór pracy poprzedniej, używany przy pracy następnej. Trzy te czynniki można już odróżnić w najprostszych zajęciach, w najpospolitszych wartościach. Tak np. dzbanek jagód lub koszyk grzybów, przynoszony na sprzedaż przez dziecko wiejskie, już jest wartością, składającą się z tych wszystkich czynników: same jagody lub grzyby są materyałem naturalnym, zbieranie—pracą, a dzbanek lub koszyk przedstawia kapitał, który ma pewną wartość. Najczęściej wartość, już raz z tych trzech czynników złożona, poddaje się jeszcze powtórnej pracy z powtórnym udziałem kapitału, a czasem nawet jeszcze dalszemu obrobieniu; przy każdej takiej dalszej produkcyi cała rzecz uważa się na nowo jako materyał surowy, wymagający nowej, zwykle wyższej, pracy i nowego kapitału. Powtarza się to kilkakrotnie aż do ostatecznego celu, skonsumowania czyli zużytkowania produktu w ostatecznej jego formie. Tak owe jagody, będące wartością złożoną z ceny materyału naturalnego, pracy i wynagrodzenia za użycie kapitału, raz jeszcze muszą być uważane za materyał naturalny czyli surowy przez fabrykanta syropu, używającego nowej pracy i kapitału (narzędzi, machin) do wytłoczenia z jagód soku; następnie i ten sam syrop, sprzedany cukiernikowi, staje się dla tego ostatniego materyałem surowym, dalszą pracą i przy pomocy nowego kapitału przerabianym na lody, karmelki i t. d. Podobnież sprzedawana przez właściciela owczarni wełna przedstawia wartość materyału naturalnego, pracy (około hodowania owiec i strzyżenia) i kapitału (żywienia owiec, kosztu zabudowań, doglądania, przewózki, upakowania wełny i t. d.); ale dla fabrykanta sukna wełna jest znowu tylko materyałem surowym, który dalszą pracą i przy użyciu nowych kapitałów przerabia się na sukno, które znowu dla krawca jest tylko materyałem, a dla tandeciarza już i cała suknia będzie tylko materyałem i t. d. Zwykle przyjętem jest tylko bezpośredni produkt naturalny uważać za materyał przyrodzony, a dalszą rolę tegoż produktu przy dalszem obrabianiu nazywamy już towarem; tak chyba sama owca jest produktem naturalnym, a wełna, sukno, odzież, są to już towary, chociaż i owca już jest wytworem nietylko przyrody, ale także hodowli i kapitału, i owca też zostaje towarem, jeżeli bezpośrednio sprzedaje się na konsumcyą mięsa. Jagody i grzyby, o ile rosną w lesie, są produktem przyrodzonym; ale zebrane są już, jak powiedzieliśmy, wartością, a jako przedmiot handlu, są towarem. Trudno więc tu oznaczyć dokładną granicę między pojęciem *wartości*, *materyału surowego* i *towaru*: ściśle biorąc, materyał surowy czyli wartość przyrodzona istnieje tylko dopóty, dopóki, rodząc się sama bez udziału człowieka, pozostaje przezeń nietkniętą: jak tylko zaś człowiek ów materyał uprawia lub tylko zbiera, zwozi, upoluje lub złowi, wykopie lub wypompuje, wnet już do daru natury przyłącza się udział pracy i kapitału. Nawet ziemia czyli sam grunt, napozór wartość jak najbardziej pierwotna i przyrodzona, wtedy dopiero nabrała pewnej ceny i stała się własnością ludzi; gdy ci zajęli ją pod uprawę, włożyli w nią pewny nakład pracy i kapitału. Ziemia nabrała wartości i stała się własnością dopiero w czasach rolniczych; tylko za życia pasterskiego obszary pastwisk były wspólną naturalną własnością, niepodzielną i do użytku wszystkich służącą. Już z powyższych kilku uwag widać, że wszelka rzecz, do potrzeby ludzkiej służąca, nabiera ceny głównie przez pracę i kapitał; wartość zaś materyału surowego, przyrodzonego, choć niezbędnego, stanowi rzadko największą, częściej mniejszą, a czasem bardzo nieznaczną część ceny przedmiotu, wchodzi w jej skład w mierze nieznacznej, czyli, inaczej mówiąc, produktom przyrodzonym cenę i wartość nadają głównie praca ludzka i kapitał. Gdy np. płacę kilka groszy za przyniesienie wiadra wody, to właściwie za wodę nic nie płacę, bo ta wartości nie ma, ale za pracę przyniesienia i zużytkowanie kapitału—wiadra. W innych wypadkach sam materyał niezmiernie mało kosztuje, jak np. w drogich cackach i artystycznych wyrobach z kości, kamienia, drzewa i t. p. Czasem tylko wartość materyału większą jest od wartości pracy i wyłożonego kapitału jak np. w kruszcach i kamieniach drogich.

Następnie, gdy zastanowimy się nieco głębiej, to z łatwością dojdziemy do wniosku, że możnaby owe trzy czynniki ekonomiczne sprowadzić do jednego zasadniczego czynnika, a tym, więc najważniejszym, będzie praca. Czem jest bowiem kapitał, czy to w postaci dzbanka do jagód lub wiadra do wody, czy jako piła tracza, jako machina parowa fabryki, jako nakłady pieniężne? Wszystko to są owoce pracy poprzedniej, zaoszczędzone i w ten lub ów sposób skapitalizowane do użytku przy pracy późniejszej. Wszelki więc kapitał jest wynikiem pracy, a choć i przy owej pracy poprzedniej istnieć musiały także i dwa inne czynniki — materyał przyrodzony i kapitał, ale z jednej strony, samo już zaoszczędzenie i utrwalenie tego kapitału jest wyłącznie dziełem pracy, a z drugiej strony, praca jest

niewątpliwie starszą i dawniejszą od kapitału, bo gdybyśmy, drogą rozumowania filozoficznego, chcieli sięgnąć pierwszych chwil działalności ludzkiej, to musielibyśmy uznać, że wtedy człowiek, oprócz siebie samego i rąk własnych, nie posiadał żadnego narzędzia, żadnego kapitału, praca zaś musiała istnieć najpierwiej, skierowana na materyał przyrodzony. Nakoniec i samego tego materyału przyrodzonego czyż nie możemy uważać za kapitał natury? Niewątpliwie, a podobieństwo jest tu tem większe, że jak kapitał jest owocem pracy, tak i materyały przyrodzone są wyrobem działających w przyrodzie sił fizycznych i chemicznych. Wszak mówimy często przenośnie, częściej jeszcze mówi się tak w językach francuzkim i niemieckim, o pracy wulkanów, o wewnętrznej pracy wody, gazów i t. p. a wiadomo że wskutek działania tych i innych czynników, powstają i skały i warstwy ziemi urodzajnej i kruszce i inne wytwory. Według najnowszych spostrzeżeń filozoficznych i przyrodniczych, nie masz w przyrodzie nic martwego; tak zwane państwo nieorganiczne bynajmniej martwem nie jest, gdyż i tutaj objawiają się wzrost, rozwój i rozmaite przemiany i przeistoczenia, a wszystko to są objawy życia, połączonego z ruchem i tajemniczą pracą sił i potęg, niedokładnie jeszcze zbadaną. O jeden stopień wyżej, w państwie roślinnem widzimy, także pracę wewnętrzną, ale jedynie skierowaną ku zachowaniu i rozmnożeniu roślin; tak samo i w świecie zwierzęcym, choć tu już napotykamy zarody pracy zewnętrznej i złudne (jakto wraz zobaczymy) pozory pracy świadomej, rozumnej.

Porównywając teraz owę pracę świata nieorganicznego i pracę świata zwierzęcego z pracą ludzką, dojdziemy do prawdziwego pojęcia i określenia istotnych cech tej ostatniej. Praca w świecie nieorganicznym jest bierną, nie samodzielną, lecz będącą, o ile wiemy i o ile przypuszczać się godzi, wypływem działania siły najwyższej, w pojedyńczych i poszczególnych siłach fizycznych i chemicznych. Świat roślinny pracuje również biernie, jedynie dla swego podtrzymania i rozmnożenia. Nakoniec świat zwierzęcy pokazuje pierwsze zarody pracy czynnej, ale zawsze jeszcze mającej te same cele, co praca roślin, zawsze jeszcze, o ile sądzić możemy, niedobrowolnej pozbawionej świadomości, poczucia celu, rozumnego wyboru, doskonalenia się i wyższych dążeń. Słynne, będące przedmiotem tylu zajmujących opowiadań i przesadnych czasem anegdot, prace bobrów, pszczół, mrówek, a także roboty ptaków i niektórych owadów i zwierząt niższych około gniazd i t. p. są wynikiem wrodzonego instynktu, działającego ślepo i z nieprzepartą koniecznością, której zwierzę ulega, bez względu na wszystko, nie mogąc chcieć ani nie chcieć, nie mając poczucia świadomości, nie wiedząc o tem że pracuje. Pszczoły zbierają miód na zimę, choć jeszcze nigdy zimy nie widziały; zbierają nawet wtedy, gdy je przeniesiemy do krajów ciepłych, nie mających zimy. Podobnież ćma owija swoje jaja futerkiem z własnych włosów, ażeby zabezpieczyć je od chłodu zimowego, choć nigdy żadna ćma zimy nie zaznała, bo umiera śmiercią naturalną przed jej nastąpieniem. Młode bobry, jak doświadczył tego Cuvier, natychmiast prawie po urodzeniu zaczynają znosić i przegryzać gałązki do budowy, choć takowej jeszcze nie znają, nigdy nie widziały i budować nie ma potrzeby. Brak ten wiadomości i celu pochodzi z niższości inteligencyi zwierząt, która wobec rozwiniętego instynktu, pomimo wszelkich pojedyńczych rysów i objawów, przytaczanych o psach, słoniach, małpach i t. d., zajmuje bardzo podrzędne miejsce i niezdolną jest wznieść się do najprostszych form logicznych — pojęcia i sądu. Zwierzęta posiadają tylko mniej lub więcej jasne i wyraźne wyobrażenia o otaczających je przedmiotach zewnętrznych, ale nie są zdolne kombinować tych wyobrażeń ani odnosić ich do samych siebie. Podobnie jak, według słów Kanta, wół musi mieć niewątpliwie wyobrażenie o swojej oborze i o drzwiach tej obory, ale z pewnością nie jest zdolnym do wytworzenia zdania: „te drzwi należą do obory;" podobnie i pszczoła, bez żadnej wątpliwości, nie jest w stanie dojść do żadnego sądu ani zdania w rodzaju np. następujących: „ten ul jest to nasz dom; komórki są przez nas wybudowane bardzo starannie, ładnie; napracowałyśmy się dosyć, teraz możemy odpocząć i t. p." Pszczoły wykonywają to wszystko, co tu wypowiedziane, ale nie mają o tem świadomości. Dalej zwierzęta, ptaki i owady pozbawione są władzy swobodnego wyboru w swojej pracy; do budowy np. gniazd używają zawsze tych samych materyałów, choć inne może również łatwe do znalezienia, daleko lepiej przydałyby się do tej budowy. Nie są one nawet częstokroć w stanie ukryć swoich gniazd i mieszkań przed tępiącymi je nieprzyjaciółmi; mieszczą je na ziemi, nizko w krzakach lub w piasku, gdzie łatwo stają się pastwą wrogów. O ulepszeniu i doskonaleniu robót zwierzęcych oczywiście nie może być mowy; niezmienny instynkt zmusza je od wieków używać tych samych form i kształtów. Praca zwierząt nie wywarła też od wieków żadnego wpływu na same te zwierzęta, nie udoskonaliła ich samych: nigdy i w niczem pszczoły ani mrówki nie starały się rozwinąć i wzmocnić swe siły, nauczyć czegokolwiek inne stworzenia tegoż gatunku lub same od nich czegokolwiek się nauczyć i t. d. Wreszcie, co do braku wszelkich dążeń wyższych, zwierzęta mało różnią się pod tym względem od roślin: jedynym celem wszelkich robót i prac zwierzęcych, w niezmiennym instynkcie przez naturę wskazanym, jest podtrzymanie gatunku, zachowanie życia sobie i potomstwu. Żadnych wyższych celów, duchowych ani moralnych, prace te mieć nie mogą, już dla braku pojęć i ideałów moralnych u zwierząt. Rzecz ta nie potrzebuje dowodów, bo czy można nawet przypuścić, że weźmiemy jeden z niższych i najmniej ważnych popędów idealnych, iż np. pszczoły lub termity dbają o opinią lub sławę i pragną, ażeby ich budowy były chwalone i wielbione przez zwierzęta lub ludzi? Wszystkie owe własności, których brak zaznaczyliśmy w pracy zwierzęcej, cechują i zawsze cechować powinny pracę ludzką, nadając jej znaczenie i wagę pracy prawdziwej, jedynej na ziemi na tę nazwę zasługującej. Praca bowiem ludzka jest najzupełniej dowolną, gdyż pomimo potrzeb i zewnętrznego nacisku, wola panuje wszechwładnie i zarówno może pobudzać człowieka do nadmiaru pracy bez potrzeby, jak i do zaniedbania najpilniejszej; jest dalej zupełnie świadomą, skierowaną do pewnego jasno określonego celu, wybierającą środki, zdolną do coraz większego doskonalenia się i mającą na widoku nietylko zachowanie życia i wydanie potomstwa, ale także niezliczone wyższe cele i potrzeby duchowe i idealne, nieskrępowane nawet biegiem czasu, bo sięgające w przyszłość i podtrzymujące jej nieprzerwany związek z tradycyą i puścizną przeszłości. Dla tego to z wszelką słusznością dochodzimy do ostatecznego wniosku, że sam tylko człowiek jest jedynym na ziemi pracownikiem, godnym tego imienia. Że taka praca, o powyższych cechach prawdziwie ludzkich. jest właśnie przeznaczeniem człowieka na ziemi, wynika to z tego, cośmy powiedzieli powyżej: jeżeli bowiem praca czyli działalność panuje w przyrodzie nieorganicznej i niższej od ludzi roślinnej i zwierzęcej, stanowiąc istotę i treść życia wszystkich tworów, to niewątpliwie także działalność czyli praca, wyższa i doskonalsza, stanowi istotę i treść życia ludzkiego. Pojęcię pracy obejmuje więc nietylko starania ludzkie, wspólne ze zwierzętami, o zachowanie życia i potomstwa, ale w ogóle wszelką działalność w wyłącznie właściwych człowiekowi, stanowiących jego wyższość i chlubę, sferach: towarzyskiej, społecznej, naukowej, religijnej, moralnej i artystycznej czyli, jednem słowem, w sferze cywilizacyjnej, humanitarnej. Pełne mądrych skazówek urządzenie Opatrzności już nawet pracę około zachowania życia zespoliła w człowieku z zarodami pracy duchowej i ciwilizacyjnej. Człowiek bowiem rodzi się nagi, bezbronny i słabszy, stosunkowo, od wszystkich innych tworów; przeznaczony do zamieszkiwania wszystkich stref i klimatów, musi ciężko pracować, żeby zdobyć dach, pożywienie i odzież, ażeby obronić się od chłodu i gorąca, uniknąć potężnych wpływów przyrody i niebezpieczeństwa życia od dzikich zwierząt. Zaspokojenie wszystkich tych pierwszych i niezbędnych potrzeb hartuje wprawdzie i rozwija władze duchowe i umysłowe, ale już odrazu wymaga pracy i natężenia tych władz, gdyż hartować i rozwijać można to tylko, co już istnieje, niemożna zaś hartować i rozwijać z niczego. Praca więc wszechstronna zarówno fizyczna, jak umysłowa i duchowa, jest przeznaczeniem i koniecznością dla człowieka, jak o tem czytamy już w Piśmie Świętem i u dawniejszych myślicieli. „Człowiek rodzi się do pracy, jak ptak do latania" mówi starożytny filozof, a porównanie to jest słusznem o tyle, o ile latanie, choć ptak może właściwie nie dla tego rodzi się ażeby latał, jest jednak formą działalności dla ptaka, obejmującą wszelkie inne i najzupełniej zgodną z jego organizacyą i naturą.

FRAGMENT.

Na ucztę życia byłem zaproszony.
Szczęśliwe dziecko, — ze szczęścia szalony.
Ojciec i matka swego jedynaka,
Kochali — ot! niby ptaka.

W młodości świętej, żyłem jako jagnię
Które opieki i chleba wciąż pragnie,
Z jagnięcia powstał orzeł złoty,
By konać z żalu i umrzeć z tęsknoty.

Miron.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

LIST II.

Adam Strosz do Jerzego Dalskiego.

Białobór, 12 Września.

Będziesz rad ze mnie, kochany Jerzy. Spełniam to czego nie przestawałeś doradzać mi od lat kilku. Opuszczam zakąt w którym, jak wyrażać się zwykłeś, pogrzebałem się żywcem od lat dziesięciu. Przed kilku dniami otrzymałem zapytanie od najwyższych władz medycznych, czy nie chciałbym zająć znacznego urzędowego stanowiska, w gubernialnem mieście Ongrodzie? Zaszczyt ten spotkał mię zapewne z powodu ostatniej książki mojej, której

nie czytałeś naturalnie, (albo tacy jak ty belletryści czytają kiedy o kwestyach tak prozaicznych, jak hygiena publiczna i domowa?) ale o której słyszeć przynajmniej musiałeś bo narobiła sporo hałasu w świecie naukowym.

Otrzymawszy przedstawienie, nie namyślając się prawie odpowiedziałem twierdząco. Dosyć mam apostolstwa. Oddałem mu dziesięć najpiękniejszych lat życia, całą prawie młodość przeżyłem nie na pustyni nawet która może mieć swe uroki, ale wśród ciemnoty, przesądów i wszelakiego rodzaju brzydkich rzeczy. Wiesz z jakim zapałem prawdziwie młodzieńczym rzucałem się w tę otchłań wyrzeczeń się i trudów, jak szczerze i z dobrą wiarą wyobrażałem sobie że będę misyonarzem nauki. Byłem nim w istocie. Lecz kiedy teraz porównywam plony dziesięcioletniej pracy z ówczesnemi nadziejami memi, uśmiecham się nie bardzo wesoło. „O młodości! śnie na kwiatach!"

Czas leci. Mam już trzydzieści cztery lata. Pora mi odpocząć, pracując na wdzięczniejszem nieco polu. Człowiek cywilizowany coraz silniej odzywa się we mnie i pragnie właściwej dla siebie atmosfery. Nie idzie zatem abym przez długie te lata ubiegłe czuł się wciąż nieszczęśliwym. Owszem, miewałem wiele chwil spokojnej pracy i świętych radości. Być może także, iż oddaleniu od starć stronniczości wszelkich i gorączkowej gonitwy za groszem, zawdzięczam oryginalność poglądów moich tak na zagadnienia nauki, jak na wiele spraw życiowych. Śliczna dziewczyna owa z którą niegdyś jak wiesz spędziłem jedyny romantyczny dzień mego życia, źle przepowiedziała mówiąc, że w poleskim zaścianku sławy zdobyć niepodobna. Imię moje wypłynęło z morza ciszy i ciemości, i sprawiło po świecie sporo wrzawy. Nie złorzeczę więc minionej epoce mego życia ale ją kończę. Zdaje mi się żem już zdobył zanadto wiedzy i doświadczenia abym je skutecznie zużyć mógł w okopconej Arkadyi, zresztą należy się i mnie także od świata i ludzi, cząstka zadowoleń tych których nie doświadczałem jeszcze.

A propos! czy wspominasz kiedykolwiek mój Jerzy, ową wędrówkę kilkomiesięczną po różnych okolicach kraju, którą odbyliśmy niegdyś z tobą i z malarzem Henrykiem? Ja wspominam o niej zawsze z wielką przyjemnością i zarazem z nieokreślonym jakimś żalem. Swobodne dnie! promieniste godziny! Ile tam było wśród nas rozmów szerokich jak świat, śmiechu, rozczuleń, wrażeń, postanowień olbrzymich! Jam był w nadziejach moich apostołem nauki, misyonarzem niosącym pomiędzy ciemne ludy dobrą nowinę wiedzy, tyś reformował piśmiennictwo, rzucał w świat więzie całe filozoficznych powieści i ostrych jak miecze krytyk, Henryk marzył o losach Rafaela i rozglądał się po świecie za drugą Fornaryną. Co prawda wszyscy trzej byliśmy entuzyastami i trochę marzycielami. Najsurowsze nawet myśli nasze przybierały wtedy różową barwę pierwszej młodości...

Za parę tygodni wyjadę ztąd. Napiszę do ciebie z Ongrodu gdy tylko rozpatrzę się w nowem mem położeniu i załatwię pierwsze trudy instalacyi.

Adam.

LIST III.

Jerzy do Adama.

Warszawa, 20 Września.

Odpisuję Ci prędko, kochany Adamie, bo pilno mi powinszować ci postanowienia które powziąłeś. Oddawna już świat szeroki dopominał się o wysokie zdolności twe i wpływy które nań wywrzeć możesz, a ty, nie chcąc zeznać tego przed sobą, tęskniłeś za szerokim światem. Nie jesteś stworzony na cenobitę, mój Adamie, a jednak w życiu swem dotychczasowem miałeś tylko poezyą czynu i obowiązku; niedostawało Ci poezyi uczuć i szczęścia. Z nauką i pracą nie szły dla Ciebie w parze: sztuka, przyjaźń i miłość. Jakżebyś mógł je znaleźć w dzikim kącie w którym spędziłeś całą pierwszą swą młodość? Nie mogłeś uczuwać nic prócz litości i miłosierdzia względem ubogich i ciemnych wśród których żyłeś. Miłość bliźniego zaś jest uczuciem bardzo wzniosłem, bardzo zapełniającem życie ale także bardzo trudzącem. Po trudach przez nie ponoszonych potrzebujemy spocząć w objęciu uczuć innych, niższych jeżeli chcesz, ciaśniejszych ale poufniejszych też i wyrozumialszych. Mówię to o uczuciach towarzyskich i rodzinnych. Istnieją natury które ażeby nie uledz przedwczesnemu zwiędnięciu, muszą żyć różnostronnie i ćwiczyć jednocześnie wszystkie swe siły. Tyś żył jednostronnie Adamie. Pielęgnowałeś gorliwie myśl twoją i rozum lecz amputowałeś sobie wyobraźnię i znaczną część serca. Dlatego jakkolwiek zadowolony losem swym, bywasz niekiedy smutnym i rozczarowanym, dla tego spokój sumienia i pełnia myśli nie idą u Ciebie w parze z pogodą i wesołością. Przed dwoma już laty gdy widzieliśmy się poraz ostatni, zapytywałem Cię: kędy się podział ten twój śmiech sympatyczny, o którym za naszych akademickich czasów jeszcze, mówiliśmy że dzwoni jak czyste srebro? Teraz, gdy śmiejesz się kiedy, śmiech twój bywa krótkim i głuchym, jakby pochodził z piersi zmęczonej trochę, odwykłej od radości życia.

Wspomnienie twoje o wędrówce naszej wspólnie przed dziesięcią laty odbytej, uczyniło mi przyjemność wielką. Gdym list twój otrzymał był u mnie malarz Henryk, przeczytaliśmy go razem. Henryk pamięta także wszystkie szczegóły tych kilku pięknych miesięcy naszego życia a pomiędzy innemi i tę młodą pannę o której w liście twoim znajduje się pobieżna wzmianka. Pamiętasz jak Henryk zachwyconym był jej powierzchownością której z bystrością wzroku malarza przypatrzył się gdy przechodziła mimo nas przez zieloną łąkę i jak zazdrościł Ci potem dnia z nią spędzonego. Że zaś podówczas marzył o znalezieniu w świecie jakiegoś cudownego kobiecego modelu, nazywałem był długo piękną nieznajomą Fornariną Henryka. Teraz, przypomniał on ją sobie znowu najdokładniej i według swego zwyczaju, ognistemi słowy opisywać zaczął wzrost jej, kibić, ruchy i rysy. Dowodził bardzo poważnie, że oczy jej, których jednak barwy nie dostrzegł, daleko większemi były niż jej karminowe usta, że olbrzymi wieniec z dzikich ziół i kwiatów wraz z włosami i czołem które wieńczył, godnym był pendzla największego z malarzy, że słowem wysmukłość jej wzrostu, białość jej lica, harmonia jej ruchów a także i łąka ta, wśród której ukazała się nam ona niespodzianie, tak mu przypomniały poemat Słowackiego: „w Szwajcaryi" że wrodzonej tylko wstydliwości swej zawdzięcza, iż nie zaszedł jej drogi i nie upadł przed nią na kolana a na usprawiedliwienie tego *schokingu* nie zawołał: „Nie jam winien, o pani! lecz lilia winna!"

Znasz wesołość a zarazem ekstatyczność Henryka. Przy końcu dytyrambu tego zawołał:

— Trzeba być takim stalowym człowiekiem i bałwochwalcą nauki jak Adam Strosz, ażeby spędziwszy cały dzień z tak cudowną dziewczyną, nie zakochać się w niej szalenie i zamiast pozostać w jej pobliżu aby starać się o jej względy, pojechać na koniec świata leczyć i nauczać chłopów!

Najpoczciwszy ten Henryk śmieszy mię zawsze entuzyazmem swym za który jednak serdecznie go kocham. Śmiałem się więc i tym razem z uniesień jego dla pięknej nieznajomej panny, której rysów ani postawy nic a nic już nie pamiętam, ale żona moja obecna przy czytaniu listu i wywołanej nim rozmowie, zawołała nagle.

— Jakto! więc to pan Adam Strosz był tym młodym lekarzem o którym pisała mi Marya...

Wykrzyknik ten wydarł się jej mimowoli, pożałowała go zaraz widocznie, zmieszała się i umilkła.

— Marya? jaka Marya? zapytaliśmy jednocześnie z Henrykiem.

— To moja tajemnica i nie zadawajcie sobie trudu zapytywać o nią bo nic nie powiem, stanowczo odparła Klementyna.

Ale Henryka, gdy mu raz ćwiek jaki zabije się w wyobraźnię, nie łatwo pozbyć się można. Po długich zatargach z Klementyną, uderzył się w czoło gestem zwycięzkim.

— A! zawołał! Marya! w istocie nazywała się ona Marya Porzewińska! Wszak dopytywaliśmy się oto we wsi...

— A raczej, przerwałem, tyś się sam dopytywał bo mnie to nic nie obchodziło a Adam przez cały dzień następny doświadczał napadu czarnej melancholii i nie wyrzekł do śmiertelnika żadnego, nie wyłączając nas, ani jednego wyrazu.

Henryk oblegał znowu Klementynę.

— Więc pani znasz tę cudowną Maryę! Cóż się z nią dzieje teraz? Gdzie mieszka, czy poszła za mąż, czy nie zeszpetniała?

Klementyna milczała jak głaz. Słówko które wyrwało się jej z ust przed chwilą nie pozwalało jej nic więcej mówić. Ja sam jednak byłem trochę zaciekawiony i wzrokiem zapytywałem żonę moją: kim jest, Marya ta posiadająca tak lokalną pamięć że teraz jeszcze pisze do przyjaciółki o człowieku którego dziesięć lat temu przez jeden dzień widziała.

Klementyna pochyliła mi się do ucha i szepnęła tak aby Henryk nie usłyszał.

— Marya Iwicka.

Otóż i szczególny zbieg okoliczności. Jednodniowa twoja bohdanka, bliższej znajomości z którą zrzekłeś się dobrowolnie jak wielu innych rzeczy na świecie apostolskiej misyi swej, jest bardzo ścisłą i ukochaną przyjaciółką mojej żony. Klementyna wierzy więcej w pokrewieństwo z ducha niż z ciała i utrzymuje, że Marya Iwicka jest jej najrodzeńszą siostrą. Nigdy jednak nie przyszło jej w rozmowie, powiedzieć mi jak najrodzeńsza ta siostra nazywa się z domu i dziś dopiero dowiedziałem się, że to ta sama piękność zwieńczona dzikiemi kłosami i ziołami, która pomogła Ci uratować od śmierci jakąś wieśniaczkę i której wspomnienie pogrążało Cię przez dni kilka w czarnej melancholii a Henryka nabawia dotąd ataków entuzyazmu.

Naturalnie byłem zaciekawiony wyrazami które wymknęły się mimowoli Klementynie i po odejściu Henryka prosiłem ją, aby pokazała mi list przyjaciółki swej w którym wspomina o tobie. Klementyna jednak nie należy wcale do rzędu potulnych owieczek. Nadąsała się na mnie za tę moją prośbę i odpowiedziała z wielką urazą:

— Nie spodziewałam się nigdy, Jerzy, ażebyś namawiał mię do postępku nieuczciwego. List którego żądasz ode mnie był dla mnie tylko pisany.

Użyłem wtedy broni szyderstwa i zacząłem prześladować Klementynę tem, iż ma przyjaciółki (zwane w dodatku siostrami najrodzeńszemi) które będąc kobietami zamężnemi i zbliżając się do trzydziestki, marzą jeszcze i wspominają o poetycznych spotkaniach z nieznanymi im młodzieńcami.

Nie uwierzysz jak Klementyna wrażliwą jest i czułą, wtedy szczególniej gdy idzie o tych których

kocha. Słuchając moich żartów, o mało nie rozpłakała się, nie wiem już dobrze, czy z żalu czy z gniewu.

— Otóż mylisz się! zawołała, bluźnisz! Marya jest kobietą niepospolitą, o tyle przynajmniej cnotliwą o ile rozumną! Czy myślisz że mąż jej, którego tak szanuje i uszczęśliwia, jest zupełnie stosownym dla niej mężem? że dzieci te, które, jak ci o tem nieraz opowiadałam, zajmują całe serce jej i wszystkie myśli, są jej dziećmi? Otóż mylisz się! Iwicki jest człowiekiem rozsądnym i uczciwym, ale ja nawet, jakkolwiek wszechstronnie niższą jestem od Maryi, nie czułabym się zupełnie szczęśliwą gdybym była jego żoną! Dzieci te zaś to jej pasierby. A dom jej, gdybyś go widział! gospodarstwo, porządek, pracowitość.......

Mówiła tak długo i z wielkiem uniesieniem a zakończyła wykrzyknikiem.

— Marya jest idealną kobietą, sposób jej życia jest świętym! Mam niekiedy przyjemność pewną w drażnieniu się z Klementyną. Uniesienia jej bowiem są tego rodzaju że odkrywają coraz nowe piękności twarzy jej i charakteru. Gdy broni kogoś lub czegoś jej drogiego, oczy jej rzucają iskry i płomienie. Ścicha więc wtrąciłem.

— Jednakże, moja droga, ja w tej idealności i świętości twej przyjaciółki, widzę, jak mówią francuzi *quelque chose de louche*. Pocóż wychodziła za człowieka nie odpowiadającego jej wykształceniem i gustami i który w dodatku obdarzył ją gromadą pasierbów? Czy dla tego aby módz świętość swoją oprawić w złote ramy?

Tu już Klementyna zerwała się z krzesła i nic nie odpowiadając, wpadła jak błyskawica do swego pokoju.

Za chwilę wróciła z paczką zapisanego papieru w ręku.

— Jakto! zawołałem, patrząc na nią nie bez zdziwienia, kapitulujesz więc? Chcesz mi pokazać poufny list twojej przyjaciółki?

— Tak, odparła, ale nie ten o który dopominałeś się tak nieuczciwie. Dziś właśnie otrzymałam drugi, a raczej dalszy ciąg pamiętnika rozpoczętego w pierwszym. Tu nie ma już ani jednego słowa, któregoby świat cały czytać nie mógł. Czytaj więc i dowiedz się od niej samej, jakie pobudki i uczucia skłoniły ją do zostania żoną Iwickiego. Nie chcę aby cień choćby złego podejrzenia padał na Maryę...

Głębokie wrażenie jakie Marya owa wywarła niegdyś na tobie i fanatyczna przyjaźń dla niej mojej dobrej i rozumnej Klementyny, czyniła mi ją interesującą. Z powołania mego zresztą jestem ciekawym historyi serc i losów ludzkich. Doręczone mi więc kartki papieru przeczytałem z zajęciem, i myślę że nie ściągnę na siebie twych złorzeczeń, jeśli na rzecz twoją dokonam tu ich streszczenia.

Otóż zdarzyło się, że w cztery lata po spotkaniu się waszem, pan Porzewiński ojciec Maryi, ujrzał się dotkniętym ciężką, nieuleczoną chorobą a zarazem — majątkowo zrujnowanym. W jaki sposób przyszła ruina ta? Marya nie wyraża się o tem jasno i szczegółowo. Fakt to zresztą w dwóch ostatnich dziesiątkach lat zbyt pospolity u nas, aby długo nad przyczynami jego myśleć było trzeba. Burza polityczna i gwałtowna przemiana stosunków społecznych, wstrząsnęły ekonomicznym bytem całego kraju, najbardziej zaś tej właśnie prowincyi w której znajduje się Porzewin. W dodatku, o ile wniosłem z rzadkich słów o tem rozsypanych tu i owdzie w liście a raczej w pamiętniku Maryi, pan Porzewiński posiadając niepospolite wykształcenie umysłowe i bardzo oryginalny na swój czas sposób myślenia, nie posiadał dosyć hartu, energii i sprężystości charakteru ażeby okolicznościom trudnym skutecznie módz czoło postawić. Stało się tedy. Sześć lat temu na starca tego złamanego cierpieniami ducha i ciała i na młodą, niedoświadczoną dziewczynę, spadł cios druzgocący im byt i serca. Porzewin, stare gniazdo ich rodu, wystawionym był na sprzedaż publiczną. Paromiesięczny zaledwie termin oddzielał już ich od tej strasznej zawsze chwili w której na progu rodzinnego domu głuchym stukiem rozlega się młotek woźnego a echa stuku tego pochwytują gałęzie wiekowych drzew i niosą je na mogiły przodków. Nie potrzebuję tłomaczyć Ci dla czego chwila ta straszniejszą jeszcze musiała być w miejscu i porze o których mowa. Wiesz bowiem dobrze, iż w życiu jednostek jak narodów bywają chwile i warunki, śród których to co się zdaje i w istocie jest gdzieindziej kwestyą materyalnego tylko dostatku albo ubóstwa, osobistego tylko spokoju lub cierpienia, przemienia się w kwestyę często i wysoce moralnej natury, w tragiczny żywioł dręczący sumienia i grożący losom zbiorowym. Wątpić nie można iż Porzewiński posiadał bardzo wykształcone i drażliwe sumienie. Wydanie w ręce obce pięknej i wielkiej części krajowego gruntu, przyprawiało go o cichą wprawdzie lecz w wieku jego śmiertelną już rozpacz. Zgryzotą jego było zawsze to że oprócz wzorowego wychowania córki, nie potrafił uczynić nic dla kraju i narodu swego, teraz łamał się pod ciężarem wstydu z którym przejść miał kilka kroków dzielących go od grobu. Co do Maryi, ta uczucia swoje w porze owej doświadczone, opisała w następujący sposób:

„Nie żałowałam dostatków traconych i nie lękałam się czekającego ubóstwa. Dla czegoż zresztą lękać bym się go miała? Alboż od lat kilku, pomimo posiadanych praw do pięknego dziedzictwa tego, nie byliśmy już w samej rzeczy ubogimi? Alboż nie odmawialiśmy sobie wszystkiego prócz najniezbędniejszych potrzeb życia, byleby tylko módz uczynić zadość, zbyt ciężkim dla nas wymaganiom czasu? Dorosłam i dojrzałam w porze wielkiego przewrotu stosunków i wyobrażeń społecznych. Głowę moją owiało gorzkie tchnienie ogólnych nieszczęść. Nie mogłam tedy drżeć z trwogi przed walką o byt powszedni. Miałam zresztą czem i z czem walczyć. Ale — nie szło tu wcale o mnie. Ustępowaliśmy z gruntu zaoranego przez naddziadów naszych. Nie wydołaliśmy zadaniu. To czego utrzymać nie mogło mnóstwo rąk doświadczonych i silnych, wymykało się z dłoni schorzałego starca i młodej dziewczyny. Winy w tem naszej nie było, tylko następstwa przyczyn dalszych i bliższych. A jednak, niepodobna nam było uspokoić sumienia i stłumić żalu serca. Niepodobna mi było bez głębokiego rozdarcia myśleć o chwili w której pożegnać miałam wszystkie dotychczasowe radości oczu moich, i bez ukrytej rozpaczy patrzeć na ojca mego, dożywającego dni swych w nieszczęściu i wstydzie. Ojciec mój miał już wtedy białe zupełnie włosy. Na wychudłej twarzy jego i w zapadłych oczach, coraz wyraźniej dla mnie wypisywała się historya życia zbrudzonego ruinami wielu ambicyi i nadziei, a kończącego się największą może ze wszystkich ruiną."

Jak widzisz, młoda panna ta nie należała do rzędu tych kobiet, które lękają się biedy dla tego że jeździ ona tylko na dwóch kołach i bardzo trzęsie. Patrzała ona na przestrzeń szerszą nieco niż ta którą znaczyły płoty rodzinnej jej wioski.

W jednym aliści z owych dni utrapień, przed ganek Porzewińskiego domu zajechał kocz czterokonny. Zaprząg to był porządny i przyzwoity ale niezmiernie prosty i niewykwintny. Kocz nie miał na sobie herbów ani złoceń, konie były dzielne lecz niekosztowne, uprząż nie połyskiwała żadną błyskotką a służba w czarnych płaszczach nie nosiła liberyi. Powozem tym przybywał nieznany ojcu ni córce mężczyzna i wszedłszy po chwili do pokoju w którym siedzieli oni oboje, przedstawił im się jako Michał Iwicki, właściciel domu handlowego w Ongrodzie istniejącego pod firmą: Iwicki i spółka. Marya wyznaje sama, iż z ciekawością spojrzała na człowieka którego nazwisko dość było w okolicy całej głośnem. Syn zamożnej oddawna mieszczańskiej rodziny, był przemysłowcem bardzo przedsiębierczym, handlującym zbożem a przeważnie drzewem. Kupiecka firma jego którą odziedziczył po swym ojcu przetrwała bez ważnych szkód najświeższe publiczne wypadki i lubo wyosobniona skutecznie opierała się zbiorowej konkurencyi i wrogim jej usiłowaniom izraelskich handlarzy.

Powierzchowność człowieka tego w żaden sposób i ani w przybliżeniu nie mogła nazwać się piękną. Nie był już młodym. Wyglądał na lat czterdzieści parę. Srebrne nici wiły się tu i owdzie wśród włosów jego gęstych, krętych, okrywających głowę zbyt wielką w stosunku do reszty ciała, posiadającego wzrost mniej niż średni i kształty kwadratowe. Twarz jego z nizkiem, zbrużdżonem czołem, z głęboko osadzonemi oczami o szarej połyskliwej źrenicy, z wydatnemi usty ocienionemi bujnym szorstkim włosem, zbyt okrągłą była i pełną aby najlżejsze posiadać mogła prawo do dystynkcyi rysów. Nie było też dystynkcyi żadnej w poruszeniach, gestach i głosie przybyłego, cechowały je owszem pewna niezręczność i rubaszność albo raczej zbytecznie rzucająca się w oczy energia. Wydawał się zresztą cały uosobieniem zdrowia, pogody umysłu i śmiałej wiary we własne siły.

Gość ten, jakkolwiek nieponętny, po kilku chwilach rozmowy wydał się ojcu i córce sympatycznym. W układzie ust jego była dobroduszna prawie uczciwość, spojrzenie miało wiele bystrości i rozumu.

Wkrótce po przedstawieniu się Iwicki przystąpił do interesu z którym przybywał. Oświadczył chęć obejrzenia lasu Porzewińskiego i nabycia tej jego części w której znajdowały się sławne na okolicę całą towarowe sosny. Pan Porzewiński ze smutkiem odpowiedział, że nie posiadał już prawa rozrządzania się żadną częścią dawnego swego dziedzictwa. Kupiec zmieszał się i zasmucił.

— Słyszałem coś o tem ale nie wiedziałem że rzeczy zaszły już tak daleko! zawołał. Ależ na miłość bozką! dla czego nie ratowałeś się pan tym właśnie lasem? Wszak to kapitał!

— W dzisiejszych okolicznościach, odparł Porzewiński, kapitał to zupełnie martwy. Drzewo posiada w okolicy naszej bajecznie nizką cenę...

Iwicki uśmiechnął się pod bujnym wąsem.

— Bajecznie nizką cenę, mówisz pan? tak; bo kupcy którzy w ręku swem trzymają monopol handlu, wyzyskują trudne okoliczności w jakich znajdują się obecnie właściciele lasów. Co do mnie, upewnić pana mogę, że drzewo nasze nie posiadało nigdy zagranicą cen wyższych jak w ostatnich latach. Ja sam chociaż płaciłem panom W. i Z. za sosny i dęby kilka razy drożej niż płacą inni, bardzo dobrze na interesie tym wyszedłem i w tym roku rozszerzam znacznie mój handel.

— A więc to dzięki stosunkom interesowym z panem, rzekł Porzewiński, panowie W. i Z. uniknęli tego co mię spotyka! Słyszałem o tem ich zadziwiającem wyratowaniu się z ruiny ale nie wiedziałem czemu je przypisać należy. Pozwól pan powiedzieć sobie że podejmując się przedsiębierstw których w kraju naszym podejmować się nie chce nikt z ludzi moralnie i umysłowo wykształconych, oddajesz pan społeczeństwu swemu przykładem i czynem usługi ważne.

— Jest to zawód mój który odziedziczyłem po

mym ojcu, z prostotą odpowiedział kupiec. Spełniam go tak jak i inni koledzy moi a bracia w Mojżeszu, z tą tylko różnicą że w kupieckich obrotach szukam godziwych zysków.

— I godzić pan je umiesz z korzyścią ogólną.

— Godzenie takie leży także w dobrze zrozumianym interesie moim. Chciałbym oprócz majątku zostawić dzieciom moim imię uczciwe i budzące ufność publiczną.

— Pan masz liczną rodzinę?

— Mam troje biednych dzieciaków.

— Dla czego nazywasz je pan biednemi?

— Hodują się one bez matki. Od lat dwóch jestem wdowcem.

Przy ostatnich wyrazach pogodne i bystre oczy kupca zamgliły się smutkiem.

„W ciągu rozmowy tej, pisze Marya, ja krzątałam się około stołu podając ojcu memu i gościowi skromny podwieczorek.

Nie mogłam nie uważać, że Iwicki często spoglądał na mnie, i zatrzymywał nawet na mojej twarzy długie spojrzenia. Myślałam iż ciekawym był jak wygląda córka starożytnego a upadłego w gruzy szlacheckiego rodu. Smutno mi było i pamiętam że podając mu szklankę z herbatą, miałam w oczach łzę której ukryć nie mogłam. Iwicki wpatrzył się we mnie wtedy tak że przez chwilę zapomniał o przyjęciu z rąk moich podawanego mu przedmiotu, potem nagłym ruchem zwrócił się do ojca mego i ze z wykłą sobie rubaszną nieco swobodą, rzekł:

— Pozwól mi pan pomówić z sobą chwilę jeszcze o interesach. Czuję dobrze że gdy przestanę mówić o interesach, osoba moja straci tu prawo bytu...

— Ależ bynajmniej...

— Ależ tak, tak! Narzuciłem się z osobą moją państwu jak prawdziwy niedźwiedź! Przebaczcie! powiem jeszcze słów kilka o interesie i pojadę sobie. Oto te słowa: Porzewin nie powinien być sprzedanym. Wiem o majątku tym wiele. Jest to jabłko złote, kopalnia bogactw! Niepodobna przypuścić aby nie było tu jakichkolwiek środków ratunku, kombinacyi jakichś, obrotów, układów...

— Nie potrafiliśmy ich znaleźć, smutnie rzekł mój ojciec.

Iwicki zamyślił się. Patrzał w ziemię.

— Możebym ja potrafił, rzekł po chwili wahania i rzecz szczególna, patrząc nie na ojca mego lecz na mnie.

Instynktowym ruchem powodowana, szczerością odpłacając za szczerość, zbliżyłam się ku niemu szybko i podając mu rękę, rzekłam:

— Sprobój pan!

Żywe zadowolenie odmalowało się na jego twarzy. Wziął moją rękę i uścisnął ją mocno.

— Dziękuję pani, rzekł, iż nie czynisz pani ze mną ceregieli żadnych i chcesz mi zaufać. Trzeba ażebym naprzód przejrzał wszystkie majątkowe papiery państwa.

Potem obejrzę majątek.

Człowiek ten, jak wszyscy ludzie przyzwyczajeni do oszczędzania czasu i energicznego działania, przystępował do rzeczy szybko i prosto. Nie raziło mię to wcale. Owszem, w tem odrzuceniu wszelkich form etykiety, widać było należyte ocenienie przeważnego dla nas znaczenia chwili, a także pewność siebie człowieka uczciwego i niezależnego, który nie przypuszczał nawet aby go o wsteczne cele jakieś podejrzywać było można.

(d. c. n).

PODRÓŻ DO KRAINY BAJADEREK.

Część druga.

Ceylan.

(Dalszy ciąg).

Rozrywka tego rodzaju trwała długo bez żadnej przerwy, gdy nagle wszyscy zebrani powstali ze swoich miejsc z oznakami największej radości.

Pierwsze brzęki piekielnej muzyki doszły do naszych uszów, co przyjętem było ogólnem uniesieniem i spiesznie wszyscy zmierzać zaczęli ku opuszczonemu chwilowo domóstwu Kassiapy.

Chciałem uchronić uszy moje od nowej męczarni, to też ukradkiem dałem znak niosącym lektyki i pod ich opieką samotnie wracałem do Kaltny.

Indyanie wynajmujący się do przenoszenia podróżnych, należą do kasty mającej nazwę Soudres, a złożonej po większej części z rzemieślników. Uczciwe jednak i pod każdym względem nieskazitelne postępowanie nadało im taką powagę, że są uważani na równi z kastą Weysias, czyli z handlującemi. Nie było wypadku aby *bohis*, to jest obsługujący lektyki, nadużył kiedykolwiek położonego w nim zaufania.

Można im doręczyć z zupełnem bezpieczeństwem znaczne kwoty pieniężne, ważne papiery, lub oddać pod ich opiekę młode dziewice lub mężatki, przybywające z Europy celem połączenia się z mężem, rodzicami lub narzeczonym, a wszystko spełnią wiernie, roztropnie i w niczem nie zawiodą położonego w nich zaufania.

Naczelnicy kasty przechowują troskliwie zdobytą sławę uczciwości, a najmniejsze przekroczenie przez ich podwładnych karanem jest nadzwyczaj surowo; winowajca jako *parias* oddany na wzgardę ogólną.

Przewodnicy w Indyach nietylko sumiennie spełniają przyjęte obowiązki, ale nawet w razie danym, gotowymi są do poświęcenia, chociażby z narażeniem bezpieczeństwa własnej osoby. Na poparcie tego zdania, przytoczę wypadek wiarogodny dotyczący mego przyjaciela Anglika majora Templera. Może zadziwi niejednego, że po tylu objawach niechęci dla narodu angielskiego, nazywam Anglika moim przyjacielem. Wypada jednak zrobić różnicę pomiędzy narodem wziętym zbiorowo, a indywiduami składającemi takowy.

Nienawidzę Anglię jako państwo, bo uczyniła wszystko co mogła aby zniweczyć wpływ Francyi we wszystkich częściach kuli ziemskiej, ale nie mogę zaprzeczyć że w wielu Anglikach znalazłem tyle przymiotów towarzyskich, że przechowałem dla nich najwyższe uczucie przyjaźni i poszanowania.

Do ich liczby należy także major Templer.

W czasie ostatniej wojny przeciwko Mahrattom, mianowany był kapitanem kompanii znajdującej się na linii bojowej. Chcąc dojechać do miejsca swego przeznaczenia, wynajął jednego bohis, i wspólnie z nim puścili się razem w drogę. Trzeciego dnia podróży przybyli w puste okolice Chounambar.

Stanąwszy na noc w karawanseraju czyli w hotelu, major poszedł na spoczynek do przeznaczonej mu stancyi, a bohis pomieściwszy konie w poblizkich krzakach, mógł spać w progu domóstwa. Powodowany jednak jakby przeczuciem, chodząc zwolna w różnych kierunkach, zakryty cieniem drzew, przeglądał starannie okolice. Długi czas nie spostrzegł nic podejrzanego, i już znudzony miał położyć się na przygotowanej słomiance, gdy niespodzianie po nad brzegiem rzeki, dostrzegł czarne postacie posuwające się ku hotelowi. Byli to mniemani dusiciele, z których imaginacya pisarzy europejskich zrobiła jakoby sektę religijną, a którzy w istocie nie są niczem inszem, tylko zwykłymi rabusiami napadającymi na podróżnych.

Trzeba było działać z ostrożnością, bo liczba napastników była zbyt wielka, aby można było walczyć z nimi otwarcie. Przezorny bohis postanowił ich pokonać podstępem. Wyprowadziwszy konia po za linią oblegających, dosiadł takowego, a wydawszy zmienionym głosem kilka krzyków w języku angielskim, cwałem puścił się ku rabusiom, wypaliwszy z pistoletu dla zrobienia większego wrażenia. Ci sądząc że kawalerya angielska napada na nich poczęli uciekać śpiesznie, a przebudzony i objaśniony o wszystkiem major, puścił się za nimi w pogoń zabił kilku nie doznawszy najmniejszego oporu.

Gdyby bohis był działał z mniejszem poświęceniem lub z mniejszem obliczeniem, to nie ma najmniejszej wątpliwości, że dusiciele ustawieni w zasadzce byliby celnemi strzałami ubili majora. Trzeba wiedzieć że otwarcie Indyanie południowi nie ośmielają się nigdy napadać na Europejczyków, którzy z rewolwerem w ręku idąc śmiało, mogą rozpędzić kilkunastu Indyan bez żadnego niebezpieczeństwa dla siebie.

Rzecz jednak godna zastanowienia, że ci sami Indyanie dadzą największe dowody męztwa we wszelkich wyprawach przeciwko tygrysom, lwom, i tym podobnym zwierzętom drapieżnym. Kilku ich padnie trupem, a mimo tego insi nacierają śmiało, chociażby niebezpieczeństwo było najwidoczniejszem. Podobnież bohis w obronie osób lub przedmiotów powierzonych jego pieczy, gotów jest dać dowody prawdziwego bohaterstwa.

W pewnych jednak wypadkach i ogół Indyan może się tak rozsrożyć, że zapomni o przewadze moralnej Europejczyka i gotów jest otwarcie zagrozić jego życiu. Ma to miejsce szczególnie w tych wypadkach, kiedy obrażonemi są jego zwyczaje lub przepisy religijne. Nieświadomy Europejczyk nie przypuszcza często że z powodu drobiazgów na pozór nie godnych uwagi, narażonem zostaje bezpieczeństwo jego osoby.

W większych miastach, jako strzeżonych przez policyą angielską, krajowcy trzymani są na większej wodzy, ale na prowincyi zdarzało się że Europejczyków kamienowano lub zabijano kijami z powodu mimowolnego obrażenia przesądów miejscowych.

Wymienię niektóre, bo zaiste spisać wszystkich niepodobna.

1) Nie trzeba nigdy uderzyć wołu, szczególniej jeżeli ten ma pewien znak na grzbiecie. W ogóle zwierzęta tego rodzaju szanowane są nadzwyczajnie.

2) Należy strzedz się zabić kanię mającą pióra brunatno-żółte, jako poświęcone Wischnu, a gołębie zielone chęnie zazwyczaj mieszkającej na dachach świątyń.

3) Nie kąpać się ani nie czerpać wody ze stawów leżących w blizkości kościołów, jako przeznaczonych do obmywania ciał kapłanów.

4) Nie wchodzić nigdy do zagrodzonej części kościołów, gdzie wzbronionem jest wejście nawet Indyanom wysokich kast.

5) Nie siadać nigdy na kopcach granicznych, mających na swym szczycie głowy słoniów wyrobionych z kamienia lub drzewa, bo te są poświęcone bożkom, protektorom pomyślnych żniw.

6) Nie uderzyć nigdy ani brahmę ani fakira.

7) Nie wejść do wnętrza domów, ani nawet najuboższych bud bez zaproszenia głowy rodziny.

8) Nie uderzyć nigdy Indyanina ani miotłą ani sandałem, ani żadnym innym przedmiotem uważanym za nieczysty.

9) Nie wchodzić do świątyń, w czasie ceremonii

odbywanych za duszę przodków, bo obecność niewiernego, unieważnia zaniesione modlitwy.

10) Nie podnosić nigdy zasłon twarzy u młodych dziewczyn należących do kast zachowujących ten przepis. Wielu żołnierzy angielskich, pokaleczonych lub zabitych zostało jedynie z tej przyczyny, że pod wpływem trunku dopuścić się chcieli niewinnej w ich mniemaniu swawoli.

Przepisy wyżej wymienione stanowiące małą próbkę całości, niech będą wskazówką jak w Indyach trzeba postępować rozważnie i umiejętnie, chcąc pozyskać życzliwość i zaufanie mieszkańców.

Wspomniawszy kilkakrotnie o kastach, uważam za właściwe objaśnić, że początkowo w chwili napadu brahmańskiego, ludność na wyspie Ceylan podzieloną była na cztery kasty: królewską—sechatrias; duchowną—brahmes; handlujących—waysias; rzemieślników i rolników—soudras.

W chwili wielkiej rewolucyi moralnej spowodowanej przez naukę Buddhy, nastąpiło nadzwyczajne zamieszanie, bo kastowa czystość krwi została przerwaną raz na zawsze. Do dwóch pierwszych kast weszli bogatsi bez względu na ich pochodzenie, a dwie warstwy niższe podzielone zostały na mnóstwo korporacyi odrębnych, odpowiednio do życia członków należących do takowych.

Korporacye te zostają z sobą we wzajemnych stosunkach towarzyskich, z wyjątkiem trzech, a mianowicie: bohis, czyli jak to nam wiadomo noszącym lektyki, schaleas, albo uprawiających goździki i cynamon, i atchari, kasta złożona z kowali, rzeźbiarzy i mularzy.

Strzegą oni z wielką starannością, aby do grona ich nie wcisnęły się osoby obce, to też doznają wielkiego uważania, chociaż ze względu na zajęcie stanowisko ich nie jest wcale wysokiem.

Pomimo ustawicznych wycieczek w różne strony, dwumiesięczny pobyt w Kaltnie począł wywierać na mnie szkodliwy wpływ moralny. Żyjąc bez troski wśród klimatu najrozkoszniejszego w świecie i wygód urządzonych z przepychem prawdziwie azyatyckim, czułem, że myśl moja cięży, że ciało staje się leniwem, że niedaleki jestem od tego stanu bezwładności w jaki popadają często Europejczycy bawiący w Indyach.

Chcąc uniknąć grożącego mi niebezpieczeństwa, oświadczyłem niespodzianie państwu Duphot, że opuszczam Kaltnę z zamiarem udania się do Trinquematé drogą wiodącą przez sam środek wyspy.

Zacni gospodarstwo chcąc mnie zatrzymać dłużej w swojem towarzystwie, dołożyli wszelkich starań i nie szczędzili wymowy, aby mnie odwieść od powziętej myśli. Widząc że jestem nieugiętym w powziętym zamiarze, że nie lękam się ani jaguarów, ani dzikich słoni, ani węży; pan Duphot oświadczył niespodzianie, że wraz ze mną uskuteczni wyprawę wewnątrz wyspy, bo chce zwiedzić niektóre plantacye, gdzie przez pośrednika uskutecznia znaczne zakupy korzeni, a których jeszcze nigdy nie widział. Nie dosyć na tem; dodał że zabierze małżonkę, aby dać jej poznać bliższe okolice wyspy, którą od lat kilku zamieszkują.

— Niech się pan nie lęka, mówiła pani Duphot z czarującym uśmiechem, o zbytnie zmęczenie w naszej wycieczce. Podróżujemy bowiem na sposób angielski, zabierając z sobą łóżka, pościel, namioty, sprzęty różnego rodzaju i służbę w takiej ilości, że przy każdem zatrzymaniu się na wypoczynek, namioty rozbite tworzą na prędce prawdziwą wioskę ku wielkiemu zdziwieniu leśnych i powietrznych mieszkańców. Co do mnie, skoro siądę na grzbiecie mego poczciwego słonia noszącego nazwę Nirjary, to nie czuję żadnego utrudzenia i nie lękam się zwierząt drapieżnych, tak ufną jestem w opiekę starego mego przyjaciela.

W kilka dni po tej rozmowie wszystko było gotowem do podróży. Stanowiliśmy prawdziwą karawanę, do której składu wchodziło dziesięć wozów, każden ciągniony był przez cztery woły; dalej ośm koni osiodłanych do zmiany; sześć słoni i dwie lektyki z odpowiednią obsługą na wypadek słabości którego z nas, a w ostatku trzydziestu służących obojga płci.

Zamierzyliśmy przez góry cyplu Adama i inne nazwane Koutmale udać się do Kandy, stołecznego miasta wyspy Ceylan. Później z Kandy aż do Nallande leżącego nad rzeką Ambaar. W Nalande mieliśmy się rozstać z państwem Duphot; oni mieli wrócić do domu, a ja z moim służącym Amudu jechać wodą do Trinquematé.

Podróż odbywała się prawdziwie po książęcemu. Na każdym przystanku rozbijano namioty, przystrajając je w meble i lustra jakby prawdziwe salony. Sypialnie mogły zadowolnić największych wygodnisiów. Przy kilku wielkich ogniskach zawieszone kotły, rądle i rożny pełniły właściwy obowiązek. Gdyby nie zmiana krajobrazów, to sądziłbym że zostaję ciągle w Kaltnie.

Pomimo różnorodności zastawionych potraw, ulubionym moim przysmaczkiem był zawsze Carry, a zarazem główną podstawą naszego pożywienia, ponieważ państwo Duphot byli w tej mierze jednego ze mną zdania.

Może która z czytelniczek zechce sprobować tej potrawy i może podanie treściwego przepisu nie byłoby od rzeczy.

Uczynię zadość temu życzeniu, ale przepraszam naprzód za niedokładność.

Carry przyrządzone z tłustym drobiem jest według mego zdania najsmaczniejszem. W tym celu należy posiekać cebulę i przypiec ją w rądlu z masłem świeżem. Skoro cebula jest zlekka zarumieniona, należy dołożyć łyżkę ciasta carry rozprowadzonego w świeżem maśle. Jednocześnie wlewa się do rądla pół litra rosołu i szklankę mleka kokosowego.

Skoro to jest wszystko dobrze wymieszanem, wkładają się kawałki pokrajanej kury i utrzymuje się na wolnym ogniu tak długo, że zostanie zaledwo pół szklanki gęstego sosu. Przed podaniem do stołu należy skropić kurę sokiem z cytryny. Jako jarzynę do tej potrawy podają zazwyczaj ryż ugotowany w wodzie i przyozdobiony dla koloru niewielką ilością szafranu.

Ciasto carry wyrobionem jest z rozmaitych nasion roślin indyjskich, razem potłuczonych w moździerzu. W Paryżu można je znaleźć u wszystkich przekupniów artykułów żywności. Mleko kokosowe można zastąpić płynem otrzymanym ze słodkich migdałów.

Jakkolwiek cały ten przepis jest prostym i nie nastręczającym żadnej trudności, pomimo tego nie często mi się trafiało, aby potrawa carry była przygotowana należycie.

Drugiego dnia podróży minęliśmy miasteczko Ratnapoor, położone w prowincyi Saffragam. Słynnem ono jest ze znacznej liczby drogich kamieni znajdowanych w łożyskach rzek i okolicznych strumieni.

Po kilkogodzinnem wypoczynku puściliśmy się dalej w drogę wjeżdżając w lasy otaczające góry nazwane cyplem Adama.

Niebotyczne drzewa, w obec których nasze dęby europejskie można nazwać karłami, darzyły nas nader upragnionym cieniem.

Drapiąc się na wysoką górę doszły do naszych uszów uderzania siekierą, dokonywane z taką mocą i z taką jednostajnością, że prawdziwie podziwialiśmy siłę muskularną robotników.

Pół godziny czasu upłynęło, a nie dostrzegliśmy najmniejszej zmiany w uderzeniach. Zadziwienie moje było tem większe, skoro stanąwszy na szczycie góry spostrzegłem czterech słoni, z których każdy trzymając siekierę za pośrednictwem trąby, ścinał drzewa wedle wskazówki udzielonej przez dozorcę. Drzewa obalone na ziemię, przenoszone były na płaszczyznę również za pośrednictwem słoni.

Nirjada, słoń pani Duphot, widząc czynność nieznaną sobie, chciał widocznie poprobować swej zręczności, a podniosłszy siekierę zamierzył wesprzeć w pracy swoich kolegów. Poprzednio jednak zwrócił głowę ku pani Duphot, jakby ją prosił o pozwolenie; dostrzegłszy jednak znak przeczący wrócił z pokorą do naszego orszaku.

Zmyślność słoni żyjących we właściwej im ojczyznie jest zadziwiająca.

Trudno wyliczyć wszystkie usługi jakie oddają swoim właścicielom. Z kolei są tragarzami, drwalami, kosiarzami, noszą wodę, spełniają posyłki, układają stosy opałowego drzewa i t. p.

Czynności powierzone im spełniają umiejętnie, dając niejeden dowód, że nie są bezmyślnemi ale rozumującemi istotami.

W Kaltnie jeden ze słoni miał zlecony obowiązek pompowania wody w wielkie wiadra służące do pojenia inwentarza. Czynności tej dopełniał bardzo ściśle i każdego ranka bez znaku dozorcy zabierał się do pracy. Przechodząc raz do kąpieli spostrzegłem, że wiadro nie było opartem na dwóch belkach, ale z jednej strony zsunęło się na ziemię. Skutkiem niewłaściwego położenia nie mogło być napełnionem należycie, bo jeden bok był zawsze próżnym, a drugim wylewała się woda. Po upływie pewnego przeciągu czasu, słoń zwrócił uwagę na tę okoliczność i widocznie był zaniepokojonym z tak niezwykłego stanu rzeczy. Obwąchawszy wiadro wrócił do przerwanej roboty, ale od czasu do czasu zwracał głowę ku wiadru, widocznie aby ocenić czy dotychczasowy stan rzeczy uległ zmianie. Widząc że zawsze jeden bok jest opróżnionym, przestał pompować i zamyślił się. Nagle zastrzygł silnie uszami, co zazwyczaj bywa znakiem zadowolenia. Widocznie szczęśliwa myśl przyszła mu do głowy, a podszedłszy ku belce znajdującej się pod wiadrem, odrzucił ją na stronę silnem poruszeniem nogi, a przyprowadziwszy do równowagi naczynie służące do noszenia wody, z łatwością napełnił takowe do samych brzegów.

Nie umiem opisać wrażenia jakiego doznałem, patrząc na ten dowód pojętności. Rozrzewnienie moje było tak wielkie, że mimowoli uczułem w moich oczach gorące łzy.

Oprócz wymienionych czynności, słonie w potrzebie umieją być i niańkami. Kochają one nadzwyczajnie małe dzieci i rodzice z zupełnem bezpieczeństwem wyprawiają pod ich opieką drobną dziatwę na przechadzkę. Spełnia wszystkie ich polecenia jedne kapryśniejsze od drugich, zrywa owoce, znosi kwiaty nawet z wysp znajdujących się wśród rzeki. Na dany znak chwyta motyle, przez silne wciąganie powietrza swoją trąbą, i obdarza swoich pupillów gałązkami posługującemi do zrobienia bacików lub laseczek.

Wśród jednak tych rozrywek niewinnych, najmniejszy szmer podejrzanego znaczenia zwraca jego uwagę. Szybko zgromadza dziatwę pomiędzy przedniemi nogami, a mając do obrony straszliwe kły i trąbę, śmiało oczekuje nieprzyjaciela. Biada bez wyjątku każdemu stworzeniu, bo czy takowe będzie

nosić miano człowieka, tygrysa lub lwa, któreby ośmieliło się zaczepić które z dzieci powierzonych jego pieczy. W jednej chwili napastnik będzie przybitym do ziemi ze zgruchotanemi kośćmi. Dziwna rzecz jednak że słoń nieubłagany w walce z tygrysem, niedźwiedziem lub nosorożcem, jest nadzwyczajnej łagodności z istotami słabemi i niezagrażającemi niczyjemu bezpieczeństwu.

Wszelkie usiłowania czynione w mojej obecności, aby nakłonić słonia do stąpnięcia na owad nazwany w języku pospolitym bożą krówką, były daremnemi. Nogę zawsze postawił opodal, albo ją trzymał w przyzwoitej wysokości, nie chcąc odbierać życia bez potrzeby. Czyż w tej mierze nie był lepszym od wielu ludzi.

Siła słonia jest tak wielka, że człowiek może go nakłonić do posłuszeństwa jedynie dobrocią i pieszczotami.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Czem Żydzi byli dla cywilizacyi, przez Szlejdena przekład S. P. Warszawa 1877.

Broszurka Szlejdena p. n. „Czem Żydzi byli dla cywilizacyi," przyswojona obecnie naszemu piśmiennictwu w tłómaczeniu S. P., nie stanowi wcale pocieszającego ani ciekawego nabytku. Gdy w ostatnich czasach przed okiem przenikającej wszystko krytyki nie mogły ostać się przesądne ciemnie talmudu; gdy coraz to częściej głosy bezstronnych badaczów i publicystów zaczęły zwracać uwagę na stanowisko Żydów w nowożytnem społeczeństwie, a zwłaszcza u nas, eksploatacyjne i odrębne, jako wynik tradycyi odrębnej etyki i organizacyi; ze strony Żydów, zamiast rozumnego rozbioru zarzutów, posypały się obwinienia o potwarz, fanatyzm i t. p. skierowane przeciwko autorom chrześciańskim i pojawiło się nieco artykułów i broszur panegirycznych, podnoszących zasługi i cnoty Żydów. Wątpliwą jest rzeczą, czy podobna taktyka może doprowadzić do jakich rezultatów a nawet czy jest racyonalną. Jedni powiadają: żydzi hołdują dzikim przesądom, obcy są interesom krajowym, eksploatują chrześcian, nie oddają się zajęciom produkcyjnym i t. p. Drudzy odpowiadają: Żydzi mają te i owe cnoty, zrobili to i owo, zasłużyli się kiedyś cywilizacyi i nauce w Hiszpanii za panowania Arabów i. t. d. Czy można od takiego działania odpornego, które jest panegirycznem, oczekiwać wyjaśnienia kwestyi i sprawdzenia zarzutów?

Nędznym wytworem takiego kierunku panegirycznego jest właśnie i broszurka, o której chcemy pomówić.

Treścią jej jest przedstawienie zasług Żydów dla cywilizacyi w wiekach średnich. Że te zasługi są rzeczywiste, nikt temu nie zaprzeczy. Wiadomo że plemię żydowskie odznacza się w ogóle wielkiemi zdolnościami; po wszystkie czasy nie brakło więc Żydów, oddających się z pomyślnym skutkiem rozmaitym gałęziom wiedzy, ale historya cywilizacyi europejskiej nigdzie nie zdradza znacznego wpływu tych uczonych żydowskich i niezależnie nawet od przeszkód, które stały wówczas Żydom na zawadzie, można raczej, ze względu właśnie na wielkie ich zdolności i na dawność osiedlenia się w Europie, utrzymywać, że zasługi ich były daleko mniejsze niż być były powinny. Istotnie jakież to imiona uczonych, poetów i artystów żydowskich można postawić obok imion Kopernika, Kolumba, Danta, Petrarki, Michała Anioła i tylu innych, że wspominamy tylko o epoce, która bezpośrednio poprzedziła odrodzenie nauk i cywilizacyi? Historya literatury i cywilizacyi europejskiej niemal milczy zupełnie o Żydach (mówimy głównie o wiekach średnich), a choć zgadzamy się, że były między niemi imiona drugo i trzeciorzędne jak np. Majmonides lub Leon Afrykański, z pewnością jednak nikomu dotąd nie przyszło przed p. Szlejdenem do głowy mówić o pierwszorzędnych geniuszach żydowskich wieków średnich.

Fałszowanie prawdy dziejowej, przesada i rażące zmyślenie przeważają w broszurce Szlejdena istotnie w sposób zadziwiający. Na dowód tego przytoczymy niektóre ciekawsze twierdzenia autora. Na początku broszurki autor powtarza z naciskiem biblijną nazwę ludu „wybranego od Boga" w zastosowaniu do Żydów, a dowód tego uprzywilejowania widzi także w szybkiem mnożeniu się Żydów! Co do nas, mniemaliśmy dotychczas, że przyczyną tego, iż Żydzi mnożą się w większym od chrześcian stosunku, jest poprostu obowiązkowe zawieranie związków małżeńskich; okoliczność ta ma wagę tak wielką, że przezwycięża wszelkie inne niepomyślne warunki jak np. zaniedbanie hygieny i t. p. Wnet potem autor dowodzi, że wszystkie ludy chrześciańskie miały swoje wieki średnie, „epokę barbarzyństwa, umysłowego i obyczajowego upadku," ale Żydzi stanowią jedyny pod tym względem wyjątek. „Oni bowiem, według słów autora, rozwijali się aż do końca wieków średnich bez przerwy w swem życiu duchowem, konserwując i przechowując dla reszty ludów podstawy obyczajności i umysłowości." (str. 5) Dziwnie wyglądają te słowa, choćby wobec tego, co wiemy z Biblii i z historyi starożytnej o ciągle wzrastającym upadku, nawet pod względem religijnym i obyczajowym, już od czasów Salomona, a nawet Mojżesza. Ostatnie zaś słowa autora, na mocy których Żydzi, jeżeli „*przechowali* dla reszty ludów podstawy obyczajności i umysłowości" uznani zostali za odnowicieli oświaty w Europie, te słowa są zbyt śmiałem lekceważeniem dziejów i czytelników. Zdawałoby się, że wielkie odkrycia i wynalazki, odrodzenie się literatury klasycznej, sztuk i nauk, że to wszystko nie sprowadziło, jak dotąd sądzono, rozrostu spółczesnej cywilizacyi, ale że zawdzięczamy ją Żydom! Jak i w czem, jacy byli genialni i wpływowi działacze żydowscy w wiekach średnich, dowiemy się od autora poniżej, gdyż powyższe fałszywe twierdzenie jest założeniem, mającem być dowiedzionem w całej jego pracy. Mówi więc autor naprzód o handlowej „dzielności" Żydów, której zaprzeczyć nie myślimy; dalej obszernie o szkołach żydowskich talmudycznych, które są dla cywilizacyi europejskiej rzeczą obojętną, a może nawet i szkodliwą, gdyż w tych szkołach powstał i wyrósł talmud, pełny dzikich przesądów i zasad przewrotnych. O talmudzie autor prawi bardzo dużo i szeroko; ale choćby nawet i istotnie w foliałach talmudycznych było więcej mądrości niż przesądów, więcej moralności niż nienawiści ku innowiercom, co jest rzeczą wątpliwą, według znawców, ale niewątpliwą, według pisarzy żydowskich, to i tak jeszcze nie możemy podzielać z autorem jego nabożeństwa dla tej księgi, nie widząc, w czemby ona mogła wywrzeć jakikolwiek wpływ dodatni na nowożytne społeczeństwo chrześciańskie. Imiona uczonych talmudycznych jak Jehuda Hanassi albo Rabi Simlai mogą być ważne dla poświęcających się nauce talmudu, ale historya cywilizacyi europejskiej o tych imionach nie wspomina, nikt o nich nie słyszał, a i nadal możemy obejść się bez ich znajomości. Podobnież liczny zastęp filozofów żydowskich, którzy na tle talmudu stworzyli cudacką kabałę, nie odgrywa żadnej roli w rozwoju prawidłowym myśli filozoficznej; każdy człowiek wykształcony zna przynajmniej imiona Sokratesa, Platona, Kartezyusza i t. d. ale kto kiedy słyszał np. o filozofach „Salomonie ben Jehuda ibn Gabirol" albo o „Abulhassanie Jehuda ben Samuel Halewi," których zasługi uwielbia autor. O etyce żydowskiej, zawartej w talmudzie? szeroko i z uwielbieniem mówi autor: trudno tu z nim polemizować, skoro wszystkie bez wyjątku dzieła pisarzy chrześciańskich o talmudzie, wykazujące przewrotność wypowiadanych tam zasad i opatrzone cytatami w oryginale, uznane zostały jednomyślnie przez Żydów, nawet bardzo postępowych i liberalnych, za potwarze pełne bredni i wymysłów. Zresztą codzienna praktyka najlepiej pozwoli przekonać się o prawdzie twierdzenia autora, jakoby Żydzi w stosunkach z innowiercami odznaczali się sprawiedliwością, rzetelnością i miłością bliźniego. Czytamy tu nawet, jakoby „Żydzi nie stronili nigdy od towarzyskiego życia z poganami, a później z chrześcianami; przeciwnie *razem ucztowali* i t. d." (str 26). To już zbyt bezwzględne i zbyt jaskrawe pogwałcenie prawdy: każdemu wiadomo, że i dziś jeszcze, jak dawniej, przepisy religijne zabraniają Żydom używać naczyń i pokarmów chrześcian, a więc *ucztować* chyba nigdy prawowierni Żydzi z chrześcianami nie mogli i nie mogą. Z podobną przesadą mówi dalej autor o zasługach Żydów na polu prawoznawstwa. Wynalazkowi weksli i listów zastawnych przypisuje niezmierną wagę, nietylko pod względem finansowym i handlowym, ale i społecznym. O zasługach Żydów w sztuce lekarskiej, może rzeczywiście najmniej wątpliwości ulegających, a dalej o działalności, uczonych żydowskich w nauce astronomii, w historyi i poezyi mówi autor wiele rzeczy, ciekawych może dla specyalnych historyków każdej z tych nauk, ale mało przedstawiających interesu ogólnego, bo i tutaj nie napotykamy imion pierwszorzędnych.

Sławi autor historyka Rabi Abraham ibn Daud (XII wiek), o ktorym, równie jak i o dziełach jego, wiemy niewiele. Autor mówi, że w owych czasach Europa miała tylko „zbiory niedorzecznych baśni klasztornych" i w tem mija się z prawdą: o Rabi Abrahamie możemy bez szkody nic nie wiedzieć nadal, a Grzegórz z Tours, Eginhard, Dytmar, Gallus, Villehardouin i tylu innych kronikarzy mają dla cywilizacyi wielkie znaczenie. Tylko co do sztuk pięknych, autorowi nie powiodło się popisać ani jednem imieniem żydowskiego malarza, rzeźbiarza lub architekta. O poetach żydowskich wspomina także, ale utwory w języku, tak mało znanym jak hebrajski, nie były nikomu prawie znane i żadnego wpływu na cywilizacyą europejską nie wywarły. Kto słyszał o „znakomitych poetach" takich jak Gabirol, Chazdai, Alcharizi? Nakoniec wspomnimy jeszcze, że autor, mówiąc o działalności Żydów na polu lingwistyki, podnosi ważne znaczenie hebrajszczyzny dla studyów nad Pismem Świętem. Nie będziemy tu wchodzili w to, czy istotnie znajomość hebrajszczyzny wpłynęła tyle na reformacyą Lutra, jak autor przypuszcza; zdaje się jednak że błędnem jest tkwiące w osnowie wywodów jego rozumowanie, jako Żydzi odegrali niezmierną rolę w reformacyi dla tego, że przechowali znajomość języka hebrajskiego, w którym napisany jest oryginał Biblii. Cząstkę słuszności to rozumowanie mogłoby mieć za sobą jedynie w takim razie, gdyby znajomość Biblii w ciągu wieków średnich była całkiem zaginęła i dopiero nanowo ją odkryto u Żydów w języku oryginału: a jeszcze i w takim razie, gdyby Żydów w Europie nie było, a nawet gdyby oni byli całkiem wyginęli, nie byłoby niemożliwem przechowanie umiejętności języka hebrajskiego, jak np. dziś jeszcze utrzymuje się między uczonymi znajomość zendu — języka dawnych Baktryan, w którym Zoroaster napisał Zendawestę. Znano jednak Biblią i w wiekach średnich w przekładzie Septuaginty i św. Hieronima, również

przecież z hebrajskiego dokonanym, a jeśli gruntowna znajomość hebrajskiego pozwoliła dostrzedz kilka niedokładności w tłómaczeniu, zresztą podrzędnych, nie było to przecież pierwszorzędnym w dziejach kultury europejskiej wypadkiem. Wiadomo zresztą z dziejów, że bynajmniej nie odkrycie drobnych usterek w katolickim przekładzie Biblii, ale daleko ważniejsze były przyczyny reformacyi. Nadto, jeśli autor chciał uwydatnić wielką wagę Biblii starego zakonu dla chrześcian, dość mu było wspomnieć fakt, o którym przecież nikt nie wątpi, że nauka chrześciańska wyszła z judaizmu.

Dodajmy do tego, że autor używa często tonu ostrego, polemicznego, nawet względem osobistości historycznych z wieków dawno ubiegłych: tak np. króla Ferdynanda Katolickiego nazywa „pobożnym łotrem" (str. 34), występuje kilka razy przeciwko kościołowi i biskupom chrześciańskim i usiłuje wykazać, choć zbyt pobieżnie, jakoby moralność żydowska była wyższą od chrześciańskiej (np. w przypiskach str 26 i 27). Ostatecznie słaba ta robota bynajmniej nie przynosi zaszczytu ani autorowi, który znany był dotychczas jako zdolny naturalista, obecnie zaś występuje w charakterze jednostronnego przeciwnika prawdy dziejowej, ani tłómaczowi, którym jest podobno redaktor „Izraelity"—pisma, co zamiast wywierania wpływów na spółwyznawców drogą rozumnej oświaty, schlebia ich próżności i nie przebiera w panegirykach. Pożytku ta broszurka pewno nie przyniesie żadnego; mówiliśmy zaś o niej tak obszernie dla tego, ażeby dać poznać opłakaną taktykę, której trzymają się pisarze żydowscy w tak zwanej „kwestyi żydowskiej." Polszczyzna tłómacza bardzo nędzna, przepełniona błędami i mogąca być również nazwana opłakaną. *S.*

Wiadomości bieżące.

Zielona sukienka drzew i krzewów coraz ciemniejsza, woń kwiatów już nie upaja, bo kwiat opada, pierś ludzka, drżąca nadzieją ściska się obawą, głowy i główki nadobne już nie tak roją ochoczo, jak przed miesiącem — słowem minęła wiosna budząca nadzieje mieszkańców wsi spokojnych i jesteśmy w pierwszej połowie lata.

Czy to ważne tyle, żeby warto zaznaczać? Warto, gdyż wiosna bywa zapowiedzią nadziei, a lato często jej rozwojem albo zawiedzeniem. Ileż to dusz słało o wiośnie westchnienia za mury miasta obiecując sobie wylecieć choćby często z gniazdka najwygodniejszego, ile jeszcze, szczególniej młodszego pokolenia śni o uciechach wakacyi a ile już—zawiedzionych nadziei!

Księga skarg na niedogodności wiosenne, specyalnie warszawskie, już zamknięta; niektóre z nich wysłuchano, inne, jak bywa corocznie, zapisano jeszcze w księdze pod rubryką „winien." Szkoda tylko, że dług, który ma sobie od siebie spłacić miasto i społeczność jego, nie ma stale oznaczonego terminu. A było ich bez liku, że już pominiemy wodę źródlaną, która sobie szemrze po cichu na Bielanach i nie jest tak domyślną, by popłynąć ku nam z własnej inicyatywy; bruki, które cierpliwie znoszą nasze sarkanie w chwilach kiedy jesteśmy narażeni na bliskie wywinięcie nogi, sługi z któremi znosimy krzyż pod wielu względami a szczególniej pod jednym, zamiłowania czystości nie powierzchownej tylko, i to czystości już nawet nie słynnej holenderskiej, ale choćby tylko niemieckiej, a i wiele, wiele innych rzeczy.

Obecnie pora na żale wypływające z utrapień sprowadzonych na miasto przez lato. Są między niemi takie, których uniknąćby można niewielkim, a nawet żadnym kosztem: są inne których bezwarunkowo znosić nikt nie powinien i są nakoniec nieuniknione dla wszystkich mieszkańców miast większych.

Bo niech się kto ustrzeże proszę od rzeczy takich, jak wrzaskliwe głosy ludzi, ktorych zarobkowanie jest ściśle związane, a nawet warunkowane krzykiem. Są pewne jakby skazane na to domy, żeby uszy ich mieszkańców rozdzierane były przez cały dzień Boży hałasem. Upał na dworze, okna pokoju choćby tylko odchylone, siedzisz zajęty pracą, aż tu wrzeszczą całem gardłem:

— Węgle do samowara! węgle!
— Garnki drutowat i rondle pobielat!
— Piasku, bia-bia-bia-łego.
— Kości kupuję, kości!
— Handel! handel! handel.

Na dobitkę wchodzi dziad żebraczy i zaczyna wyśpiewywać pieśń o Ś-tej Kunegundzie, po nim daje się słyszeć silne dudnienie bębna i tamburyna z dudlącym głosem katarynki; występują akrobaci albo małpa po gzymsach domu wspinająca się. Zaledwie gawiedź się rozeszła, odzywa się jakaś wędrowna orkiestra z przedętym klarnetem i trąbą niemiłosiernie wrzeszczącą. Odeszła przecie, nadjeżdża ze swoją taczką warsztatową szlifierz i zaczyna tłuc żelazkiem o żelazo: dzeń, dzeń, dzeń! bez końca, a na dobitkę nadciąga znowu kataryniarz i robi się muzyka z akompaniamentem, któregoby się i piekło nie powstydziło.

Otóż i przyjemności letnie domowego życia Warszawiaków; dodajcie do nich trajkot, rumot, kurz i wcale niewonne wyziewy różnych kałów i ścieków, a mieć będziecie obraz rzeczywisty, lecz nie bardzo ponętny. Nic też dziwnego, że każdy kto może ucieka z naszego grodu, aby tylko odetchnąć świeżem powietrzem.

W ostatnim dniu ubiegłego miesiąca odbyty popis roczny uczniów Konserwatoryum Warszawskiego wykazał, iż muzyka znajduje w czasach dzisiejszych więcej miłośniczek niż miłośników. Na dwóch uczniów którzy otrzymali dyplom z całkowitego ukończenia kursu, otrzymało jednocześnie takiż dyplom 14, wyraźnie czternaście uczennic. Kto wie, ażali w tej dość poważnej liczbie nie znajdzie się w przyszłości jaki talent, który zechce sięgnąć po chwałę Moniuszki. Ciężka to droga do celu, ale prawdziwy talent jeśli Bóg złożył w piersi ludzkiej, nie lęka się trudów.

Wielkim, niezwykłym nawet udziałem ze strony publiczności cieszył się popis w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych. Zebrało się około 550 osób, to jest prawie dwa razy tyle, ile sala pomieścić może. Owoce prac i starań zakładu zasługują ze wszech miar na to. Współczucie, zresztą dla upośledzonych od losu, jest uczuciem tak pięknem, tak czysto chrześciańskiem, że skłądalibyśmy chyba o sobie smutne świadectwo nie interesując się tym zakładem dobroczynnym. Ale o ile wiemy zakład ten nie może odpowiadać zupełnie celowi dla braku funduszów. O, gdyby tak jak żywo się uczuwa niedolę, stwierdzało się na świecie zaraz i czynem, to instytut powinienby znaleźć dobrodziejów, którzy ustanowieniem choć skromnych stypendyów położyliby sobie trwałe wspomnienie, trwalsze od pomników w sercach współbraci. Ale i mniejszemi ofiarami można przyjść z pomocą, a choćby taką ofiarą, jaką proponuje *Gazeta Warszawska*, donosząc o wydaniu przez Instytut książeczki pod tyt. *Proporcye żywności*, która rozkupiona, przyniosłaby pewien dochód. A książeczka ta, jak słusznie twierdzi sprawozdawca wymienionej Gazety, powinnaby się znaleźć w ręku każdej panienki kończącej nauki, jako nader pożyteczny podręcznik dla przyszłej gospodyni domowego ogniska.

Lucyan Jastrzębiec.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie domowe. Suknia, tunika i bluzka z prostym karczkiem odszyta z płótna écru, ze szlakami blado-niebieskiemi. Dół sukni zdobi szerokie plisowanie z podwójnym szlakiem; tunika z przodu długa spuszczona, z tyłu wcale niepodpięta, tylko dopełniona brytami nakształt szarf. Bluzka w pasie przyciśnięta szarfą związana z tyłu.

Fig. 2. Ubranie letnie z różowego batystu. Suknia princesse sznurowana z tyłu, naszyta jest u dołu trzema falbankami zakończonemi koroneczką, po nad któremi zamiast plisy dana wszywka koronkowa. Draperya nakształt tuniki z przodu ułożona w poprzeczne fałdy, z tyłu spuszczająca się w jednym brycie lekko podpiętym, z boku zebrana kokardami. Rękawy sięgające tylko za łokieć mają wszyte wzdłuż wstawki koronkowe i u dołu zakończone są riuszą i falbaną; takiż garnirunek przy podłużnym wykroju sukni. Kapelusz z brukselskiej słomki zdobny blado-żółtą wstążką, różowo cieniowanem piórem i różami.

Fig. 3. Ubranie małej dziewczynki. Sukieneczka princesse z białej alpagi z niebieskiemi wypustkami, ma u dołu dwie plisowane falbaneczki, po nad któremi bryty tylne przewiązane są szarfą. Przy rękawach i kieszonce kokardy niebieskie repsowe; kołnierz marynarski zakończony plisowaniem.

Nowe wydawnictwa.

Dzieł Karola Szajnochy, tom VII Jadwiga i Jagiełło opuścił prasę drukarską. Prenumerata na każdy tom wynosi rs. 2 a na przesyłkę pocztą dopłaca się kop. 10. Oprawa ozdobna jednego tomu na sposób zagraniczny w płótno angielskie, z wyciskami i złoceniami na grzbiecie, w Warszawie kosztuje kop. 40, z przesyłką pocztową kop. 50.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 30 Іюня (12 Іюля) 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.